

## "Podróż trwała długo..."

21.01.2010.



"Podróż trwała długo..."

Tak Bruno Schulz [1] zaczyna swoją relację z podróży do, przebywającego w sanatorium, chorego ojca. W tym samym czasie znany i ceniony żydowski pisarz Jakub Glatsztejn, wypływa z Nowego Jorku, by odwiedzić umierającą matkę i jeszcze raz zobaczyć ukochany Lublin, miasto swojego dzieciństwa. Fakt, że podróż Glatsztejna wydarzyła się w realnym czasie i przestrzeni, a podróż Schulza była literacką fikcją - nie ma tu znaczenia. Obydwaj pisarze wyruszyli w rejs prowadzący w głąb siebie. - pisze Jakub Skrzypczak.

Podróż trwała długo...

Statek wypłynął z nowojorskiego portu wczesnym rankiem. Czyste niebo i spokojna tafla oceanu. Pasażerowie po popołudniowym lunchu korzystali z wszelkich udogodnień, oferowanych przez nowoczesną jednostkę „Cunard-White Star Limited”.

Jakuba Glarsztejna znajdujemy w restauracji na górnym pokładzie. Ma trzydzieści osiem lat, ale wygląda znacznie młodziej. Przystojny. Delikatny typ urody. Nosi okulary. Oczy smutne. Spojrzenie trochę nieobecne. Przygląda się kelnerom uwijającym się pomiędzy stolikami. Dystyngowani panowie, pomalowane kobiety, modna młodzież. Orkiestra gra ostatni przebój „New Orleans Rhythm Kings”. Jego myśli krążą daleko stąd - wąskimi uliczkami Lublina z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości. Rozmyślania na krótko przerywa pytanie nachylonego się nad nim kelnera:

- Szanowny pan sobie życzy?

- Tak. Poproszę kawę.

Kelner odchodzi pozostawiając po sobie ostry zapach wody kolońskiej. Naraz ze wszystkich stron zaczynają napływać nieprzerwaną falą inne, dawno zapomniane, zapachy; razowego i koszykowego chleba, kiszonych ogórków, korzennych przypraw, śledzia, aromat pełnej ufności żydowskiej wiary. Dźwięki „Tin Roof Blues” zdają się odpływać, rozmywać i mieszać z melodią żydowskiego nigunu. Po kolei milkną dźwięki saksofonu, klarnetu, kornetu, puzonu, bębnow. Zostają tylko skrzypce. Jak gdyby zegar ruszył do tyłu. Przebył cały ocean czasu. Wstecz.

Te pierwsze siedemnaście lat życia spędzone w Lublinie zdały mu się realniejsze niż dwie dekady pobytu w Ameryce, które teraz, zetlałe na proch rozsypywały się w dłoniach. Rzeczywistość dzieciństwa stawała się realniejsza od terażniejszości.

Gwałtownie wstał od stolika zostawiwszy niedopitą kawę. Ruszył korytarzem prowadzącym na pokład. Wcześniej nie zauważył ani korytarza, ani tych kajut archaicznego typu, dawno zapewne wycofanych na innych liniowcach, obszernych jak pokoje, ciemnych i pełnych zakamarków. Te korytarze załamujące się pod różnymi kątami, te przedziały puste, labiryntowe i zimne miały w sobie coś dziwnie opuszczonego, coś niemal przerażającego. Wszędzie wiało, zimne przeciągi torowały sobie drogę przez te wnętrza, przewiercały na wskroś cały statek. Tu i ówdzie siedzieli ludzie z węzełkami na podłodze, nie śmiejąc zająć pustych kanap nadmiernie wysokich. Zresztą te cedrowe, wypukłe siedzenia zimne były jak lód i lepkie od starości. Liniowiec Carinthia, właśnie wpływał w boczną, nielegalną odnogę czasu.

- Zaczynam opowiadać swoją własną historię - pomyślał - zrównuję się z przeznaczeniem, wykorzystuję bowiem ostatnią szansę odzyskania czasu utraconego w opowiadanej właśnie historii”.

Koniecznym było o tym wspomnieć, albowiem od roku 1934, od czasu swojej wizyty w Europie, w Polsce, Glatsztejn zaczął pisać nieco inaczej, jakby w myśl jakiejś antyarystotelickiej zasady narracji wstecznej. Właściwie już na początku lat dwudziestych, gdy wraz z Aronem Lejelesem i Nachumem Boruchem Minkoffem zakładał

introspektywistyczną grupę "In zich" ("W siebie"), jego poetyka skierowana była do wnętrza, do źródeł tajemnicy. Po wizycie w Europie - czas Jakuba Glatstejna biegnie wstecz, na przekór biegowi zdarzeń, pod prąd czasu. "Hoc; solo privatur Deus, ingenita facere quae facta sunt" (Tylko tego jest Bóg pozbawiony, by uczynić nieistniejącym to co się stało) powiada Stagiryta w szóstej księdze Etyki Nikomachejskiej[2]. Anzelm z Canterbury, wymieniając rzeczy których, pomimo "potentia absoluta" Bóg nie może uczynić; dodaje: "et plura similitur" (i minione uczynić aktualnym)[3]. Glatstejn na przekór gojowskim filozofom, jakoby chce udowodnić, że dla Najwyższego jest wszystko możliwe, ale... jeśli On nie zachce uczynić cudu i anulować tego co się wydarzyło, jeśli nie zachce przywrócić minionego do istnienia - to zrobi to poeta. Glatstejn próbuje wrócić do jakiegoś punktu w przeszłości, by móc niepostrzeżenie skrócić w jakąś boczną ścieżkę czasu, w momencie w którym wszystko to co się przydarzyło jeszcze nie doszło do skutku. Poeta ostatecznie ponosi (chyba) zaplanowaną klęskę, ale pozostawia po sobie tomy wierszy, które, o ile będą czytane pozostaną na zawsze. "Od początku, do początku, do początku..." (אין תחילת, ביז אנהויב, ביז אנהויב, ביז אנהויב) - tak brzmi tajemnicza, powtarzana jak mantra, jak magiczna sgula, czy bakasza - fraza z jednego z powojennych wierszy.

Jako cierpki owoc podróży do Polski powstaje wiersz "A gute nacht welt" (Dobranoc świecie). Prawdopodobnie ze względu na bezprzykładowy brak poprawności politycznej, wiersz nie ukazał się nigdy w polskim przekładzie. O ile krytycy wspominają ten utwór, który w swoim czasie poczynił niemałe zamieszanie w żydowskim świecie literackim, robią to niechętnie, starając się jakoś usprawiedliwić autora i złagodzić wydźwięk wiersza.

Glatstejn używa ostrych słów, ale nie wydaje się by jego celem było obrażanie jakiejś konkretnej narodowości lub wyznania. Poeta, niezwykle emocjonalnie odcina się od europejskiej kultury i ogłasza bezwarunkowy powrót do kultury żydowskiej. In zich. Do siebie.

א גוטע נאכט, ברייטער וועלט.

גרויסע, שטינקענדיקע וועלט.

נישט דו, נאך איך פארהאק דעם טויער.

*Dobranoc szeroki świecie.*

*Wielki, cuchnący świecie.*

*Jesteś niczym.*

*Zamykam drzwi!*

Nie zamierzam usprawiedliwiać Glatstejna. Powrotu na okręt który tonie nie nazwę ksenofobią. Powrotu do płonącego getta - nacjonalizmem. Jakub Glatstejn nie był żydowskim szowinistą. Miał, po prostu, zwyczajne, dobre żydowskie serce. Może zbyt wrażliwe.

*W długim chałacie,*

*z płonąca żółtą łatą,*

*ale krokiem pewnym*

*i na własne życzenie -*

*wracam do getta!*

Jadąc do rodzinnego Lublina przez Francję i Niemcy obserwował wzrost nastrojów antysemitycznych. W samej Polsce nie było lepiej. Jechał do matki. Spieszył się, by móc ją zobaczyć ostatni raz. Wiedział, że jest ciężko chora, umierająca. Patrzył na świat swojego dzieciństwa nie mogąc pozbyć się wrażenia że są to ostatnie akordy jego życia. Chciał odwiedzić znajome miejsca, ulice, zaułki rodzinnego miasta, spotkać przyjaciół. Ale przede wszystkim zobaczyć matkę.

- Czy moja matka żyje? - zapytał zatapiając niespokojny wzrok w twarzy lekarza.

- Żyje, naturalnie - rzekł doktor. - Oczywiście w granicach uwarunkowanych sytuacją - dodał. - Wie pan równie dobrze jak ja, że z perspektywy pańskiej nowej, amerykańskiej ojczyzny - matka umarła. Podobnie jak cały ten świat, który pan obraził swoją tchórzliwą dezercją. Tego się nie da całkiem odrobić.

- Ale matka nie wie, nie domyśla się? - zapytał szeptem. Lekarz potrząsnął głową z głębokim przekonaniem. - Niech pan będzie spokojny - rzekł przyciszonym głosem - Cały trick polega na tym, że my, tutaj, w starym kraju, cofnęliśmy czas. Spóźniamy się tu o pewien interwał, którego wielkości niepodobna określić. Rzecz sprowadza się do prostego relatywizmu. Tu po prostu jeszcze śmierć pańskiej matki nie doszła do skutku, ta śmierć, która ją w pańskiej ojczyźnie już dosięgła. Reaktywujemy tu przeszły czas z jego wszystkimi możliwościami, a zatem i z możliwością wyzdrowienia - dodał, jakby na pocieszenie.

Jakby chcąc zetrzeć tę hańbę dezercji, własnej zdrady, ustępstw poczynionych na rzecz obcej kultury, Glatzstejn kontynuuje:

*Depczę i ścieram*

*każdy ślad wychrztów (טשטעטל),*

*włóczących się po twoich ściekach.*

*Chwała, chwała, chwała,*

*Garbatemu, żydowskiemu życiu!*

*Bądź przeklęty świecie, wraz z twoją trefną (טריפהנע) kulturą!*

*Choć wszystko pustoszeje wokół,*

*choć ginie nasz stary świat,*

*choć wszystko pokrył kurz, pył i smutek -*

*to wszystko jest moje!*

*Moje, żydowskie życie.*

Stary świat tradycji może i ginie, rozkłada się i rozwiązuje, wraca w swą etymologię, wchodzi z powrotem w głąb (*in zich*) siebie, w ciemny korzeń, zmierza ku Tajemnicy własnego poczęcia. Ostatecznie zdesakralizowany, zamiera, zapada w zimowy sen, by po latach, znów zakwitnąć; "od początku, do początku, do początku..." (*fun onhojb, biz onhojb, biz onhojb...*).

Jakub Glatzstejn stojąc na lubelskim rynku pyta: Kim jestem? Małym Jankele biegnącym do chederu z podartym Chumeszem z komentarzami Rasziego, czy nowojorskim Jacobem Glatsteinem, wygodnie rozpartym w fotelu z tomikiem wierszy Whitmana? A może jednym i drugim? Wszystkiemu winien jest prędko rozpad czasu, nie nadzorowanego nieustanną czujnością. Coraz wyraźniej zarysowuje się inkongruencja naszych indywidualnych czasów. Czas lubelski i czas nowojorski, czas mojej matki i mój własny czas już do siebie nie przystają.

חזירישער דאטש, פיינטלעכער ליאך,

עמלק גנב, לאנד פון זויפן און פרעסן.

שלאברע דעמאָקראַטיע, מיט דינע קאלטע סימפאטיע-קאָמפרעסן.

*Świnia Niemiec, podły Lach,*

*rymscy grabieżcy,*

*ojczyzno chlania i żarcia,*

*kaleka demokracjo, z tym twoim zimnym kompresem sympatii!*

A to zaskoczenie! (Przypomina mi się tekst Szlengla, gdy notuje w czasie pierwszych dni powstania w gettcie: *"Żydzi mają broń!"* to zaskoczenie i dezorientacja Niemców.)

Antysemici zawsze są szczerze zaskoczeni. Nawet zażenowani. Jak to? Przecież Żyd tak nie może mówić! To my - uniesieni słusznym gniewem, możemy powiedzieć *"żydowska świnia"*, *"parch"*, *"bogobójca"*, *"męczychryst"*, ale żeby Żyd używał podobnej retoryki? To nie wypada! Żyd powinien być ponad to. Powinien cierpieć i w milczeniu, z chrześcijańską(!) pokorą znosić obelgi.

W wydanej w 1966 r. *"An anthology of modern Yiddish poetry"* ukazało się angielskie tłumaczenie wiersza *"Dobranoc świecie"*. Epitet *פֿײַנטלעכער ליאך* (*„fajtlecher Liach"*), tłumaczka oddaje jako *„cutthroat Pole"* (*rzezimieszek Polak*). Natomiast w rosyjskim przekładzie Szlomo Gromana, znajdujemy bliższe oryginałowi: *„враждебный лях"* (*wrogi Lach*). Dla anglojęzycznego czytelnika słowo *„Lach"* nie będzie zrozumiałe, dla rosyjskiego, owszem. Zapewne, gdy *„czerkieskie sotnie pędzą"* i słychać zewsząd: *„Bić Lachów!"* - ma to wydźwięk pejoratywny. Co innego gdy kronikarz Długosz pisze o dumnym plemienu Lechitów. Co jednak zrobić z żydowskim określeniem *פֿײַנטלעכער*? Może to pomyłka? Drukarski błąd? Jeśli pomyłka, to doprawdy drobna! Zgubiono jedną małą literkę „r". Zamiast *„fajtlecher"* (*wrogi*), mielibyśmy *„fajntlecher"* (*przyjazny*). Jakaż szkoda. A mogło być tak pięknie...

Nieco dalej w przekładzie rosyjskim czytamy: *„Амалек-вор"* (*Amalekicky złodziej*), natomiast przekład angielski ma: *„Rumania, thief"* - zupełnie niezrozumiałe. W literaturze rabinicznej Amalekicy symbolizują narody wrogie Żydom. Protoplastą Amalekitów był Ezaw, brat Jakuba. Tradycja mówi o amalekickim pochodzeniu Hamana. W czasach późniejszych potomkami Amaleka określano Rzym cesarów, a w konsekwencji również Rzym papieży i ówczesne chrześcijaństwo z jego dekretami *„De non tolerandis Iudaeis"*. By nie pisać *„chrześcijańscy"*, zwrot *אמלק* tłumaczą jako *„rzymscy grabieżcy"*.

*Dobranoc, rozświetlony elektrycznością bezczelny (טשטענעלעך) świecie.*

*Wracam do nafty,*

*do cieni świece*

*i wiecznych październików,*

*maleńkich gwiazdek,*

*do moich krzywych uliczek*

*i garbatych latarni,*

*mojego Chumeszu, Gemary*

*i talmudycznych zawłości,*

*do blasku żydowskiej modlitwy,*

*do naszego Prawa, i jego głębi,*

*do obowiązków i do sprawiedliwości.*

*Z radością wkraczam w cichy blask getta.*

Ten *„elektrycznie roz-bezczelniony"* świat, w rzeczywistości spowija mrok. Powyższy tekst jest nie tylko pisany po żydowsku, ale i po żydowsku myślany. Nie sposób przetłumaczyć na żaden język określenia *עבר-טיטש*, chyba że opisowo, w przypisie. Ale jak w jednym-dwu słowach napisać czym jest *„lichtike iwre-tajcz"*? Archaiczny przekład Tory na jidysz? Przekład uświęcony tradycją, czasem, błyszczący odbiciem świętości samego oryginału? Coś najdroższego i bliskiego sercu, pamiątka i zapach dzieciństwa? Zdecydowałem się na *„blask żydowskiej modlitwy"*. Oczywiście w sensie dosłownym nie o to chodzi, ale istotne są tu emocje autora, jego uczucie i miłość do tradycji.

א גוטע נאכט, כ'גיב דיר, וועלט,

צו שטייער אלע מיינע באפרייער.

נעם צו די יעזוס-מארקסעס, ווערג זיך מיט זייער מוט.

קראפיר איבער א טראָפּן פון אונדזער געטויפט בלוט.

*Dobranoc świecie,*

*zwracam ci po kursie wszystkich twoich zbawicieli.*

*Zabieraj swoich Jezus-Marksów, niech duszą się w swojej chwale,*

*niech się udławiają każdą kroplą naszej ochrzczonej krwi.*

Dokładnie w czasie, gdy Głabsztein pisał te słowa w Nowym Jorku, w warszawskim „*Naszym Przeglądzie*” (14. 09. 1937) ukazał się wiersz Władysława Szlengla „*Kol Nidrej*”:

*... i wy -*

*chcący zapomnieć, że wczoraj, czy przed wiekiem*

*byliście Żydami*

*uciekający w gąszcz wielkich spraw,*

*w las wielkich ludzi,*

*w kłamstwo wielkich słów,*

*chowający głowy za plecami*

*obcych, nie waszych idei...*

*wy – wyzwoleni -*

*z tałesów, z szabatów,*

*z chałatów,*

*chodźcie!*

*[...] wróćcie do ciemnych izb modlitewnych,*

*[...] sercami choć bądźmy razem,*

*przy smutnej modlitwie Kol Nidrej.*

Minie trzydzieści lat a Aleksander Wat zanotuje: „A byli wśród nas tacy, co śpiewali obcym. I wargi ich trądem poraził Sprawiedliwy. Harfy ich strzaskane, świeczniki w proch wdeptane i domy ich podane w hańbę opuszczenia”[4].

Artur Sandauer trafnie zauważył: „Asymilacja w gruncie rzeczy, się nie udała; za to udała się poezja, która tej nieudanej asymilacji, tej nieszczęśliwej miłości do Polski była wynikiem. Asymilacja, okazuje się - właściwie - niemożliwa. Do żydostwa swego nie można mieć stosunku obojętnego: dziedzictwo zbyt ciężkie, by można przejść nad nim do porządku. Można tylko - albo się go zaprzeczyć, albo je eksponować. Da to w pierwszym wypadku osobowość nieautentyczną i wytartą, w drugim - samonienawidzącą i autodemontującą”. Na koniec, dodaje przekornie: „Asymilacja okazała się niemożliwa; za to możliwa się okazała - analiza jej niemożliwości”[5]. Trudno jest przyjmować Sandauera zupełnie bez zastrzeżeń, bez poczynienia, choćby niewielkiej uwagi, sprostowania, czy erraty. Równie trudno odmówić mu trafności niektórych spostrzeżeń, jeśli nawet wydają się nam zbyt bezpośrednie. Skoro już nie cenzurujemy Głatsztejna, pozwólmy Sandauerowi na jego złośliwą mądrość. Mądra złośliwość? Nieistotne.

*A On choć spóźnia się...*

*ja wierzyć będę wiarą niezachwianą,*

*że nadejdzie dzień, ten jeden dzień,*

*gdy Bóg nagrodzi naszą wierność.*

*I zaszumią zielone liście na naszym zeschniętym drzewie.*

Ta część wiersza, jest bezpośrednim nawiązaniem do hebrajskiego tekstu dwunastego artykułu wiary Majmonidesa. Słowa: *אני מאמין באמונה שלמה בביאת המשיח, ואף-על-פי שיתמהמה - עם כל זה אחכה לו בכל יום שיבוא (Wierzę pełnią wiary w nadejście Mesjasza, a chociaż zwleka, to nie przestaję czekać na niego każdego dnia)*, odmawiamy każdego dnia po modlitwie porannej szachrit.

Kiedy wydarzenia toczą się przewidywalnym rytmem chronologii i zmierzają ku nieuchronnej Zagładzie, pozostajemy na poziomie treści jawnych, skończonych, zdefiniowanych nieubłaganą konsekwencją. W języku talmudycznym, ten najprostszy sposób interpretacji nazywa się „pszat”. Kiedy niespodzianie zgubimy się w nieznanach dotąd odnogach, nogawkach i rękawach czasu, wówczas żydowski Lublin przestanie być sentymentalnym wspomnieniem amerykańskiego pisarza. Stanie się polem apokaliptycznej bitwy i zarazem sądu ostatecznego.

Lublin symbolizował dla Głatsztejna cały jego żydowski świat. Dlatego, po latach, gdy rozegra się ostatni akt tragedii, poeta napisze z goryczą:

די תורה האָבן מיר מקבל געווען ביים סיני,

און אין לובלין האָבן מיר זי אָפגעגעבן.

נישט די מתים לויבן גאט,

די תורה איז געגעבן געווארן צום לעבן.[6]

*Torę otrzymaliśmy pod górą Synaj,*

*a w Lublinie, zwróciliśmy ją.*

*Umarli nie chwałą Boga.*

*Tora była dana dla żywych.*

Od czasu swojej podróży do Polski, właściwie nie napisał nic prócz listów adresowanych do jakiegoś boga. Nieznanego - ponieważ nie jest możliwe dowieść ponad wszelką wątpliwość, czy jest on tożsamy z Bogiem Objawienia. Te listy Glatsztejna należy mocno cofnąć w czasie, jeżeli mają cośkolwiek znaczyć, jeśli mają być zrozumiałe. Dziś - po Zagładzie. Czas powstania i ich kolejność podlega własnej, wewnętrznej zasadzie. Przed wojną pisał o rozpadzie czasu, o próbie rekonstrukcji, o nieuchronnej klęsce. Ale świat opisany przez Glatsztejna w 1938 r. już nosi wszelkie znamiona ciszy. Tej ciszy, która nastanie już niebawem, po jego zniszczeniu. Te przedwojenne wiersze nie są wcale profetyczne, nie wynikają też z jakiejś dogłębnej analizy. To bolesne ukłucie w sercu, które czuje się na nieuchwytną chwilę przed tragedią. Albo w chwili śmierci kogoś bliskiego.

Podobnie jak ze wspomnianym „*iwre-tajcz*”, sprawa się ma z technicznym określeniem pojawiającym się w Talmudzie i wszelkich dziełach z zakresu prawa halachicznego, a mianowicie דלד אמות (*deled amot*), co można by, w sensie dosłownym oddać jako „cztery kroki”. Brzmi bardzo poetycko i tajemniczo, ale niestety nie niesie sobą, dla czytelnika, nie znającego kultury żydowskiej, absolutnie żadnej sensownej treści. Prawdziwie pobożny Żyd, trzymający się ściśle prawa Tory, nie może zrobić czterech kroków, zanim nie dokona porannego, rytualnego obmycia rąk, inny przepis mówi, że „*bojący się Nieba*” nie powinien przejść czterech „*amot*” bez jarmułka na głowie. Stąd „*deled amot*” to, przenośnie: Żyd nabożny, lub często używane w sensie pejoratywnym: wstecznik, reakcjonista, klerykał itp. epitety jakimi XIX wieczni postępowcy obrzucali wszystkich myślących inaczej niż oni. W innym wierszu - „*Nachtlider*”[7] poeta również używa określenia „*daled amot*”, ale w nieco innym sensie: (קברים פון דער גאנצער פארטיליטקטער יידישן וועלט, אין די דלד אמות פון מײן געצעלט „*Kwitną mogiły całego zamordowanego żydowskiego świata, zaledwie cztery kroki od mojego koczowiska*”). Tu „*cztery kroki*” oznaczają niewielką przestrzeń, ale jednocześnie określają tę przestrzeń, definiują w kategoriach religijnych.

*Nie potrzebuję dobrej rady.*

*Wracam do moich obowiązków (דלד אמות).*

*Od pogańskiej muzyki Wagnera -*

*ku dźwiękom nigunów.*

*Całuję cię, skołtunione żydowskie życie.*

*Radość płacze w moim sercu z powodu powrotu!*

Tak Glatsztejn kończy swój wiersz „*A gute nacht welt*”. Podróż, młodego jeszcze, amerykańskiego poety Jakuba Glatsztejna powoli dobiega końca. Czas pożegnać się na zawsze z Lublinem. Czuł bolesny niepokój w sercu. Przy tym jeszcze ta cała niestosowna manipulacja z czasem, której dopuszczają się Żydzi wschodnioeuropejscy! Cofnięty czas... w samej rzeczy pięknie to brzmi, ale czymże okazuje się w istocie? Czy dostaje się tu pełnowartościowy, rzetelny czas. Jest to do cna zużyty, znoszony przez ludzi, czas przetarty i dziurawy w wielu miejscach, przeźroczysty jak sito. Nic dziwnego, toż to jest czas niejako zwymiotowany!

Trudno zataić, że proces szybkim krokiem zbliża się do fatalnego końca. W drodze na dworzec kolei żelaznej widać jakiś niezwykły ruch. Tłumy ludzi przebiegają ulice. Docierają nieprawdopodobne wieści o wtargnięciu nieprzyjacielskiej armii do miasta. Dzieją się tu jeszcze dziwniejsze rzeczy, rzeczy fantastyczne wprost przez swą absurdalność.

Wśród powszechnej konsternacji ludzie podają sobie alarmujące i sprzeczne wiadomości. Trudno to pojąć. Wojna nie poprzedzona pociągnięciami dyplomatycznymi? Wojna wśród błędnego spokoju, sielskiej atmosfery sztetlu? Wojna z kim i o co? Mnożą się informacje, że inwazja nieprzyjacielskiej armii ośmieliła partię malkontentów w mieście, którzy wylegli na ulice z bronią w rękę, terroryzując spokojnych mieszkańców. (אונדזער קלייניקע ברידער גוים - (ווילדע חיות ארויסגעלאזטע פון ברענענדיקע צירקן) Ulice przebiegają grupki tych patriotów, w czarnych cywilnych ubraniach, z zielonymi wstążeczkami w kłapie, posuwają się w milczeniu, z pochylonymi karabinami. Tłum cofa się przed nimi, tłoczy na chodniki, a oni biegną skądś-dokądś, posyłając spod cylindrów ironiczne, ciemne spojrzenia, spojrzenia, w których maluje się poczucie przewagi, błysk złośliwego ubawienia i jakiegoś porozumiewawczego mruganie, jak gdyby powstrzymywali parsknięcie śmiechu demaskujące całą tę mistyfikację.

- Głos tchórzostwa doradza mi bierność - poeta próbuje szybko zebrać myśli widząc już przed sobą czarny ciąg

wagonów kolejowych stojących u wyjazdu na stację. - Ktoś idzie przede nim, nie odwracając się. Wie, kto to jest! – Mamo! – woła drżącym ze wzburzenia głosem i matka odwraca twarz i patrzy na niego przez chwilę z błagalnym uśmiechem. - Gdzież jestem? Co się tu dzieje? W jaką matnię wplątałem się?

- Szczęście, że matka już w gruncie rzeczy nie żyje, że jej to właściwie nie dosięga. Żegnaj matko, żegnaj miasto którego już nie zobaczę!

\* \* \*

Dwa lata później wybuchła II Wojna Światowa. Nadszedł czas Zagłady. I nadszedł czas żałoby. W wydanym tuż po wojnie zbiorze „*Sztralendike jidn*”, Gatsztejn pisze:

וואָס זײַנען מיר אײַצטער,

א פּאָלק, א ראַסע, א גלויב?

...

דערצייל אים:

מיר זײַנען א סעקטע,

א סעקטע אבליים. [8]

*Czym my właściwie teraz jesteśmy?*

*Narodem? Rasą? Wiarą?*

[...]

*Opowiedz mi:*

*Jesteśmy teraz sektą,*

*Sektą żałobników...*

Po wojnie rabini zamilkli. Nie znaczy to, że się nie wypowiedzieli, że nie próbowali bronić "*honoru Boga*" (bardzo lubię to określenie wymyślone przez T. Mora, często, mimo, pozornie paradoksalnego wydźwięku - okazuje się nader przydatne), ale cokolwiek powiedzieli - było niewystarczające, brzmiało pusto. Mówili: "Król, Król!", ale odpowiadało im milczenie. Ludzie rozchodzili się do domów. Pod nosem szeptali: "Król jest nagi". Pewien poeta szepnął: "*szaty pełne nikogo*". Zabrzmiało jakby na odwrót. Ale znaczyło to samo.

Swoiście pojętą teodyceą zajęli się poeci. Bronili Boga - oskarżając go. Znamienne, że tacy poeci jak, Bialik, Kacnelson, Gatsztejn i tworzący po polsku Szlengel, idąc na wojnę z Niebem sytuują się w tej samej płaszczyźnie co wierzący. Ich biografie znacznie się różnią, ale doświadczenia i refleksje nad cierpieniem wydają się w wielu punktach spójne.

Niektórzy z nich ogłosili światu, że Bóg umarł, - ale często, zdaje się być to retoryką rozpacz. Jakub Gatsztejn napisał po wojnie:

אַן יידן וועט נישט זיין קיין יידישער גאָט. [9]

*Bez Żydów, nie ma żydowskiego Boga.*



Ale wszędzie, między wierszami można usłyszeć: Bóg żyje, Bóg musi żyć - już choćby dlatego i po to, by móc się z nim spierać, by móc mu powiedzieć, jak bardzo nikczemnie postąpił.

Każdy pobożny Żyd jest w stanie zrozumieć cierpienie, bunt i najdalej posunięte bluźnierstwo; ponieważ wie, że chodzi tu nie o tego samego "Boga".

W szerszym kontekście, zwrócił na to uwagę Paul Landsberg: "(Wierzący) rozumie buntownika, do którego by się nawet przyłączył, gdyby jego Bóg nie był miłością".

Dlatego słowa Jakuba Glatsztajna: „Bez Żydów, nie ma żydowskiego Boga” - są nie negacją, lecz afirmacją Boga i Jego Prawa. Zagłada nie dokonuje się wyłącznie w wymiarze fizycznym, ale przede wszystkim w płaszczyźnie spirytualnej. Hillel Cejtlin pisze: נאָר אין אייך, נאָר אין אייך, נאָר אין אייך - „Kajdany wygnania nie są **na** tobie, lecz **w** tobie”[10].

Jak to się stało, że człowiek posiadający zdolność krytyczną powiedzenia "nie" zwierzęcości - jest w stanie odrzucić również boskość? Właśnie wtedy, gdy jest ona najbardziej samotna i opuszczona? Gdy Bóg na górze Synaj ogłosił swoją jedyność: "Słuchaj Izraelu, Haszem jest twoim Bogiem, Haszem - Jedyny", zaraz potem dał człowiekowi pierwsze i najważniejsze przykazanie. Nie jest to nakaz służenia Mu. Nie mówi: "i będziesz się Mnie bał", choć skądinąd wiemy, że "Jęk przed Niebem jest początkiem mądrości". Powiada: "kochaj mnie" (weachawta). Ale, być może to "kochaj" jest aż tak bardzo abstrakcyjnym pojęciem, że nie czujemy, że w naturalny sposób mieści w sobie "miej nade mną litość".

Prawodawca, znając ludzką naturę (był w końcu jej konstruktorem), dał człowiekowi, jako środek prewencyjny, szereg praw i ustaw zalecających miłosierdzie i współczucie dla zwierząt. Nie powiedział tylko ludziom, by mieli współczucie dla swojego Boga. Nie musiał. Przypomnieli o tym poeci. I to właśnie wtedy, gdy On najbardziej potrzebował miłości.

Jakub Skrzypczak

---

[1] W tekście wykorzystuję fragmenty „Sanatorium pod Klepsydrą” Bruno Schulza, gdzieś tam je modyfikując. Nie oznaczałem tych miejsc wychodząc z założenia, że każdy wykształcony Europejczyk z naszego kodonu kulturowego bez trudu rozkoduje te miejsca.

[2] Arystoteles; „Etyka Nikomachejska” VI,2. Łaciński przekład w: "Tractatus de praedestinatione et de praescientia Dei et de futuris contingentibus" Williama Ockhama.

[3] Anzelm z Canterbury w VII części "Proslogion" stoi naturalnie na stanowisku nieodwracalności zdarzeń które się rozegrały. Przeciwników tej zasady było niewiele. Spośród filozofów są mi znani zaledwie dwaj: mnich, kameduła Piotr Damiani i nowożytny filozof Lew Szestow. Jeśli chodzi o pisarzy sprawa ma się znacznie lepiej; Jakub Glatsztajn i kilka lat odeń młodszy Jorge Luis Borges, zaledwie otwierają długą listę ludzi pióra nie zatrutych racjonalistyczną impotencją arystotelizmu.

[4] Aleksander Wat, "Nad rzekami Babilonu" w: "Ciemne świedło", Paryż 1968

[5] Artur Sandauer, "O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać...", Warszawa 1982

[6] Jakub Glatzstejn, *"Nisht di mejsim lojbn Got"*, str. 12, w: *"Sztralendike Jidn"*, New York 1946

[7] Jakub Glatzstejn, *„Nachtlider“*, w: *"Sztralendike Jidn"*, str. 48, New York 1946

[8] Jakub Glatzstejn, *„Nachtlider“*, w: *"Sztralendike Jidn"*, str. 52, New York 1946

[9] Jakub Glatzstejn, *„On Jidn“*, w: *"Sztralendike Jidn"*, str. 37, New York 1946

[10] Nie posiadając hebrajskiego oryginału, cytuję przekład w jidysz dokonany przez syna pisarza - Arona Cejtlina w: *"Zamlbicher"*, nr 6, pod redakcją I. Opatoszu i H. Lejwika, str. 25, New York 1945

